

# Dla mnie nikt nie był obcy



**Z Julią Hartwig, poetką, od wczoraj Honorową Obywatelką Lublina, rozmawia Sylwia Hejno**

**Pani mama była prawosławną, a babcia – katoliczką. W jaki sposób ta sytuacja Panią ukształtowała?**

Zostałam wychowana w symbiozie narodów i wyznań. Nie musiałam się tego uczyć. W Polsce, niestety, nie zawsze jesteśmy otwarci na „obcych”. A ja nigdy nie miałam poczucia, że ktoś jest obcy, ponieważ sama byłam prowadzona zarówno do cerkwi, jak i do kościoła. Zawsze wydawało mi się, że w tej kwestii jesteśmy wszyscy równouprawnieni wobec pana Boga. Moja mama była Rosjanką. Samo to sprawiało, że mój dom był szczególny.

**W Pani wierszach mama wydaje się być zagubiona w Lublinie.**

Szalenie tęskniła do rodziny. Miała chyba poczucie rosnącego wyobcowania i samotności. Do tego dochodziły różne kłopoty. Nigdy nie byliśmy mocni finansowo. Za to zawsze u nas były książki, czasopisma. Tata kochał literaturę. Gdy kładł się spać, to u wężłowania czekał jakiś klasyk rosyjski.

**Odwiedza Pani czasem stare domy na Staszica i Narutowicza?**

Oczywiście. Zachodzę tam, gdy przyjeżdżam z Warszawy. Wiele wspomnień łączy mnie również ze Starym Miastem. Nigdy tam nie mieszkałam, ale bardzo często tamtędy spacerowałam. To było dla mnie miejsce niezwykle tajemnicze. Mieszkali tam przeróżni ludzie. Było mnóstwo sklepików żydowskich, pamiętam becзки ze śledziami na ganku. Urodę Lublina jeszcze mocniej uprzytomnił mi mój brat Edward. Świetnie znał zakamarki Starego Miasta, bo je fotografował. I on

pokazał mi podwórza. Były przepiękne, z wewnętrznymi balkonami. To był niezwykle element lubelskiej architektury. Powiedziano mi kiedyś, że jeszcze kilka takich podwórek zostało.

**Lubiła Pani zachodzić na ulicę Wieniawską?**

To było bardzo częste miejsce moich odwiedzin. Był tam dom mojej przyjaciółki Anny Kamieńskiej. Jej rodzina w jakiś sposób mnie przygarnęła. Razem mieszkały trzy córki i wspaniała matka. Była opiekunem społecznym. Zawsze przychodziła do domu zmęczona, z jakąś historią, którą chciała zrzucić z serca. Miałam oczywiście dom i ojca - matka nie żyła - ale tak się złożyło, że przesiadywałam tam czasem całe dni. Ojciec miał zakład fotograficzny w głębi hotelu Europa - wtedy nazywał się „Hotel Europejski”. Niedaleko był sklep, w którym pięknie pachniała kawa.

**Jak zapamiętała Pani słynną „budę” na Narutowicza - fotograficzne atelier brata Edwarda Hartwiga?**

To był bardzo skromny zakład. W tej „budzie” spotykała się polska cyganeria, która poczynała się do pewnej artystycznej wspólnoty. Było tam bardzo malowniczo, w budynku rośło drzewo.

**Pani pierwszy samodzielny tom poetycki nosił tytuł „Pożegnania”. Teraz ukazuje się wybór wierszy lubelskich „Powroty”. Czy to koniec jakiegoś etapu?**

Wszystkie ostatnie tytuły odnoszą się do mojej sytuacji wewnętrznej. Niewątpliwie jest to jakiś powrót. Nie pierwszy - wydałam niedawno prozę książkę „Zawsze powroty”. Ja w ogóle wracam. Mieszkaliśmy z mężem (Arturem Międzyzrzeckim - przyp. red.) w Stanach Zjednoczonych, gdzie mogliśmy zostać i doskonale się utrzymać. Ale nie chcieliśmy.